

ANNA CIARKOWSKA

*pes.
tki*



OTWARTE

KRAKÓW 2019

*(Nie) przesadzaj, (nie) histeryzuj, (nie) płacz,
to (nie) wypada, tak (nie) można...*

*Wszystkiego, co wiem o swoim życiu,
dowiedziałam się od innych.*

Świat składa się ze słów, które do mnie powiedzieliście.

*Gdybym tu i teraz rozpadła się na tysiąc części,
stałabym się zbiorem głosów, które mówią mi, jak żyć.*

Wyobraź sobie, że każde słowo ma swój ciężar.

Ile waży to, co do mnie dziś powiedzieliście?

Autorka

– Jesteś dziewczynką urodzoną na granicy północy – powiedziała mama, która urodziła mnie w środku nocy i nie wiedziała, czy to już, czy jeszcze nie. Nikt tego nie wiedział i nikogo to nie obchodziło. Wpisali dzień, chociaż była noc. Mówiła, że nic z tej nocy nie pamięta.

Nikt nie zna swojego początku, bo pierwsze wspomnienie zostaje na zawsze w matce, która może jeszcze długo rodzić opowieści o skurczach i płaczu, o tajemnicy przemienienia krwi w krew, oddechu w pierwszy krzyk. Nie dowiedziałam się, że dla matki to była najgorsza ze wszystkich nocy. Noc jak ciemny kął, który rozwierał się czasem w matczynych snach, otwierał się w jej krzyk, przerywany biciem zegara i głosem położnej, której nie widziała, bo ta siedziała gdzieś nisko, niżej niż nogi mamy, niż białe prześcieradło, wypatrywany godzinami sufit, niż brzuch, a może nawet niżej niż podłoga ułożona w niebieskie romby.

– O, już północ.

Rozległ się płacz dziecka.

część pierwsza

– Jesteś na to za duża. Za duża na to, żeby cię karmić i tak się z tobą cackać. – Mama położyła przede mną łyżeczkę z plastikową rączką. Przeczytała ostatnio, że dziecko nie może tak po prostu umrzeć z głodu, a przynajmniej nie jej dziecko, nie w tej kuchni, nie przy parującym z talerza obiedzie. W książce radzili, żeby nie zwracać uwagi i nie rozmawiać, dopóki dziecko nie zje. Żadnych pertraktacji. Więc matka nic nie mówiąc, wyszła z kuchni, a ja zaczęłam płakać na słono do rosółu.

Słowa, którymi kiedyś karmiła mnie mama, były białe i miały smak owocowej kaszki. Podawała mi je na łyżeczce, *jeszcze za mamusię, jeszcze za tatusia, jesteś najpiękniejsza, najmądrzejsza, najśłodsza*. Mama karmiła mnie mianą, łyżeczką, utuleniami, ramionami, słodkim słowem. Karmiła mnie, a ja karmiłam się nią i byłam wówczas przyjemnie mleczna i lekka. Gdybym tylko chciała, mogłabym odepchnąć się rączką od ziemi i polecieć w górę jak biały obłok przyczepiony do wstążki matczynego głosu.

Ale ja nie odleciałam dalej i wyżej, tylko zostałam tutaj, sama przy kuchennym stole, bo jestem już za duża, chociaż czuję się wciąż tak samo mała.

– To nie koniec świata – powiedziała mama, zmieniając mokre prześcieradło. Próbowалам jej powiedzieć, że właśnie koniec i to ostateczny, ale wszystko rwało się na zapłakane sylaby. Od czasu pestki, która nie została drzewem, zaczęły rosnać we mnie niepokojące sny. Ciemne, lepkie i gęste, w które zanurzałam się powoli jak w smole i z których nie mogłam rano wyjść w jawę.

Wszystko zaczęło się od końca świata.

Powiedzieli o tym w telewizji. Gruby ekspert w okularach, którego szyja płynnie wlewała się obwisłym podgardlem w kieliszek kołnierzyka, orzekł poważnie, że koniec. Że śmierć i zagłada, że asteroida, że to by było na tyle, dziękuję państwu. Czy coś można zrobić? Jakoś się uratować? Ekspert milczał, a dziennikarz połączył się na wizji z księdzem, który zalecał modlitwę i spowiedź.

Od tego momentu śniły mi się różne końce. Asteroidy, Król Grozy i ognista kula Marsa, panikujące dinozaury, wieczna zmarzlina i nieprzenikniona ciemność. Rytm moich nocy rwał się niepokojąco w galopie końskich kopyt. I wielka powódź, która zamienia się w spływający strumieniami pożar. I wielka pustka, w której się budzę i z której nie mogę się obudzić. Aż pewnej nocy w pustce przyśnił mi się Bóg, który mówił głosem mamy: jesteś już spakowana?

Zacząłam się wówczas pakować: scyzoryk po dziadku, sznurek, oddech wstrzymywany w czasie kąpieli, lornetka, plastry, cierpliwość ćwiczona godzinami leżenia bez ruchu pod łóżkiem. Przeleżałam tam całe wakacje, myśląc, że świat zaraz obumrze jak roślina, rozpadnie się, wyschnie i czernieje, i tylko ja, ja jedna, wygrzebię się spod gruzów, z podłóżkowej kryjówki, i będę żyła wiedziona jakimś pierwotnym instynktem przetrwania. Śniłam, że siedzę samotnie na brzegu świata, na końcu cywilizacji, na spalonej ziemi, którą oplakuję.

– Dziecko, ile ja takich końców świata już przeżyłam – zaśmiała się babcia, gdy dowiedziała się o moich lękach. – Żeby tak dożyć końca świata, to by było coś!

Tej nocy zasypiałam w nieskończoność i śniło mi się, że świat się nie kończy. Wszyscy żyją, jak żyli, chodzą i robią świat, tak jak robili, i tylko ja pośrodku tego wszystkiego wysycham, rozpadam się i czernieję. Już wiem, że nie przeżyję świata do końca.

część druga

– Możesz być, kim chcesz – powiedziała nauczycielka, wręczając mi dyplom za dobre wyniki w nauce. Zmar-twiło mnie to, bo nie wiedziałam, kim chcę być ani na-wet kim tak właściwie jestem.

– Wszystko przed tobą – wyjaśniła mi babcia, ale to nic nie wyjaśniało, bo przede mną było tylko ćwierćotwarte okno, pólśenne miasto i całe pole wyrastających z ziemi bloków. Przede mną były co najwyżej wakacje, które roz-pościerały się aż po horyzont lata.

– A ty, babciu, kim byś była, gdybyś mogła być jeszcze raz?

– Jak to: kim? – zdziwiła się babcia, bo kim miałyby być, jeśli nie starą kobietą, która rano otwiera okna w każdym pokoju, w południe wychodzi na balkon zapalić jednego papierosa, a wieczorem podlewa pelargonie, które jak ko-lorowe ptaki obsiadły parapety. – Tym samym, co jestem. Kimkolwiek.

– Jesteś jakaś nienormalna – powiedział Michalek, a ja, żeby zrozumieć, zaczęłam prowadzić rejestr ludzi normalnych, którymi nie jestem.

Sąsiadka z pierwszego, która wychodzi z psem zawsze przed szóstą i po dwudziestej trzeciej, bo wtedy nikt nie widzi, jak po nim nie sprząta.

Sąsiad z drugiej klatki, który gwizdże na Malinkę i pyta, czy będzie jego żoną, jak już tę swoją starą odprawi.

I jego syn, który nie pracuje, tylko ciągle mówi, że wygra milion w totka.

Sklepowa, która mieszka ze swoim byłym mężem i była teściową.

Babcia, która wieczorami rzuca klątwy na dziadka i siostry dziadka, i dzieci dziadka, ale tylko te inne niż moja mama.

Malinka, która nie ma jeszcze okresu.

Mama Malinki, która nie wierzy w lekarzy, a Malince każe myć się naparem z dziurawca i szybko znaleźć męża.

Michalek, który śpi między ojcem i matką, bo boi się ciemności.

Moja mama, która dziesiąty raz w ciągu tygodnia jest na diecie i wszystko musi mieć zawsze parzyste i pod kolor.

Kartoteka normalności, w której przez kolejne lata będę usiłowała się znaleźć. Jak każdy normalny człowiek.

– Nie chcesz? – Wzruszam ramionami, bo nie wiem, czy już chcę, czy jeszcze nie.

Leżę na łóżku. Nie wiem, dokąd niesie mnie powolny nurt pościeli i fala dotyków. Jakbym wchodziła w ubraniu do morza, jakby ciało stawało się lepkie i ciężkie, od kostek i kolan do bioder, do piersi, aż po same włosy, kiedy on mnie głaszcze i mówi: – No widzisz, nie bolało.

część trzecia

– Jesteś całkiem ładna – mówi Marcin. – Takie siedem na dziesięć.

Brzmie jak działanie do policzenia, ułamek rzeczywistości, który otrzymał kształt. Jak się okazuje, nie taki najgorszy. Ale i nie najlepszy.

Nigdy nie widziałam nagiej kobiety. Nie widziałam żadnej dziesiątki ani jedynki. Widziałam za to nagich mężczyzn. Ci pierwsi wcale nie byli nadzy, chociaż rozbierali się do różowych ciał. Nie miałam jednak odwagi, żeby się im przyglądać. Byli jak przedmiot na granicy pola widzenia. Przedmiot, który się wyczuwa w kąciku oka.

Dopiero później zobaczyłam nagiego mężczyznę. Stał przede mną, a jego skóra była lekko żółta, postrzępiona w zagłębieniach pach i pachwin.

– I co, nieźle? – zapytał ten witruwiański człowiek, prężący się teraz w koło i kwadrat. Punkty zaczepienia: stopa, łokieć, dłoń. Napięte mięśnie brzucha, ramion, szczęki, podbrzusze w łagodnych liniach spływające do ud.

A potem zaczął się ubierać. Brzuch zwinął się w drobne fałdki, ramiona pokryła sieć piegów i pieprzyków, skóra jak drobnoziarnista plaża. Stopy sine, w żyłach, które

wsiąkały pod skórę. Palce niezgrabne, nierówne, dłonie jakby rozlane, o krótkich, tępo zakończonych palcach. Rzadkie włosy na udach, rude, poskręcane. Gęsia skórka na przedramionach. Odstające lewe ucho. Pociąga nosem, drapie się po włosach, chrząka.

I myślę, że on też tak mnie widzi. Smukła, prosta linia, która marszczy się i fałduje, którą pokrywają plamki, kropki odrastających włosów, nierówności, grudki i szorstkości. Zakrywam się, jak mogę, żeby tylko nie dostrzegł, jak się przeobrażam, jak się uczłowiczam.